

Die 23 julii

Dydnia, pogrzeb stolnika sanockiego

Dzień był upalny i gorący, bo przypadał w samym środku żniw, kiedy słońce zsyła na ziemię żar niczym z diabelskiego pieca. Niebo od rana olśniewało błękitem, jak nowy żupan z kitajskiego jedwabiu, a jednak im wyżej wędrowało słońce w swej podniebnej podróży, tym więcej krzaczastych, kędzierzawych obłoków wypływało spoza wzgórz. Wznosiły się powoli – dołem poblękitniałe, przechodzące w ołów, górą lśniące niczym perski szyszak wyczyszczony popiołem i wypolerowany przez

zapobiegliwego pachółka. I już od rana zapowiadały nadciągający skwar, a może nawałnicę.

Kondukt ruszył na dźwięk pierwszych dzwonów w kościele w Dydni. I nie był to zgoła taki pochód, jakiego zażyczył sobie zmarły. Bo choć starosta trembowelski dał braciom z ojcowej szkatuły jedynie dwieście złotych na koszty pogrzebu, każdy dołożył od siebie w dwójnasób tyle, aby tylko nie wyjść przed panami braćmi na dziadów i nędzarzy.

Pochód otwierał poczet husarski Jacka, w pełnej barwie i zbroi. Najpierw kroczyła wdzięczna Hetmanka, przybrana w nabijane złotem trzęzle, w naczółku i nachrapniku z pozłocanych blach zdobionych rubinami. Z forgą ze strusich, farbowanych piór na łbie i podpiersieniu – z trzech pozłocistych pasów spiętych mosiężnym pierścieniem na końskiej piersi – na którego blachach także same rubiny układały się wokół herbu Gozdawa. A na Hetmance jechał Jacek w husarskiej zbroi ze skrzydłami, z pysznym futrem lamparta przerzuconym przez lewe ramię. Za nim na podjezdkach Świrski i Nieborski, w zbrojach, nakryci wilczurami, z takimi samymi skrzydłami i kopiami w tulejach przy prawym strzemienu. Konie, choć przybrane w kosztowne rzędy, miały czarne płachty aksamitu narzucone na czapraki, jak pogrzebowe wojsko odprowadzające do grobu hetmana.

Potem podążał Przeclaw w czarnym żupanie, dalej zaś jego hajducy w czerni i srebrze.

Następnie postępowała na podjezdkach i sekielach, czyli siedmiogrodzkich koniach, czeladź dworska w zielonych i karmazynowych żupanach, nakrytych opończami z czarnego aksamitu, na który poszło prawie osiemdziesiąt złotych. Za nimi szedł ksiądz proboszcz Fabrycy i ludzie kościelni z chorągiewami, bractwo modlitewne z Sanoka w żałobnych kapturach jak podczas zarazy, z gromnicami w dłoniach, śpiewając pieśni pogrzebowe i napełniając okolicę smutkiem. Dalej podążali franciszkanie, zgodnym chórem odmawiający litanię do Najświętszej Marii Panny, a potem piesi hajducy z dworu ze spuszczoneymi lufami

rusznic, w wilczych kapuzach i granatowych żupanach. Na plecy następował im lamentujący tłum żebraków i proszalnych dziadów, frantów i oberwańców połapanych przez ludzi Przeclawa pod kościołem w Sanoku i w okolicznych wioskach. Następnie szedł Miechowita z krzyżem, za nim zaś prowadzono koni dwańście, bardzo kosztownie przebranych w czapraki aksamitne i altembasowe, przy każdym zaś było po pacholku w lampartach, szyszakach żołnierskich, misiurkach i kolczugach.

– Dalibóg, mości panowie – zagrział Atanazy Łącki do braci Grochowskich. – Czy mnie stare oczy mylą, czy altembasy prawdziwe leżą na tych dzianetach?

– Jakie to altembasy, panie bracie! – odrzekł starszy Grochowski. – Zwykle to falendysze niderlandzkie żółtą i białą nicią przetykane. Toż nie wojewodzica chowamy, ale stolnika! Fałszują takie materie Olędry pod Gdańskiem, a potem sprzedają – głupcom na śmiech – jako materie z Turcji i Persji, po trzy złote za postaw!

– Siła teraz pewnie – uzupełnił młodszy – karmazynów i posesjonatów po zaściankach się rozmnoży, a do fałszywego złotogłowiu nosić będą łapcie i lipowe łyczaki!

Za końmi jechał starosta trembowelski uosabiający zmarłego, w żupanie atłasowym karmazynowej barwy, w ferezji podobitej sobolami, zarzuconej – dla upału i fantazji – jedynie na lewe ramię, zdobionej pętlcami diamentowymi, z kitą za kołpakiem i buławą sadzoną turkusami w ręku. Buława owa, ma się rozumieć, nie była własnością nieboszczyka stolnika, który nigdy żadną chorągwią nie komenderował, ale należała do skarbczyka pana kasztelana czechowskiego Ligęzy. Ten, prawdę powiedziawszy, także niewojennym był człowiekiem – pomijając awanturę o jarmarki rzeszowskie, kiedy starł się ze Stanisławem Stadnickim z Łańcuta. Kto wtedy wygrał – nie było wiadomo, bo w protestacjach jeden adwersarz żalił się na drugiego: Ligęza, że go Stadnicki pobił, a Stadnicki, że mu sprął tyłek kasztelan czechowski. Dlatego buławę trzymał pan Mikołaj Spytek Ligęza jedynie na okazywania pospolitego rusze-

nia, aby pomachać nią przed szlachtą i poudawać choć przez chwilę pułkownika, a da Bóg – przyszłego hetmana.

Następnie sześciu ubogich dziadów niosło spowite w biały całun ciało pana stolnika. Na tym bowiem zasadzał się sprytny plan braci – chciał ojciec mieć skromny pogrzeb, niech mu będzie! Zatem do kościoła nieśli go żebracy bez trumny i w kapciach. Jednak tuż za ubogimi jechał wóz obity czarnym sukniem, na którym spoczywała pusta dębowa trumna okryta czerwonym adamaszkiem. Pojazd ciągnęły woźniki w poszóstnym cugu, maściste i sprzęgłe, to jest nieróżniące się ani maścią, ani wielkością – wszystkie jeden w drugiego gniade. Za wozem zaś posuwał się pieszo liczny tłum szlachty i czeladzi, który otwierał pan Piotr Bal i Jan Szczęsny Herburt.

– A jakie koniki wdzięczne – rozmarzył się pan Piotr Bal do swego totumfackiego i rękodajnego Aleksandra Strubicza. – Gdzie oni ich dostali? Bo przecież nie na jarmarku w Sanoku! Muszę spytać, czyby nie sprzedali!

– Patrzenie, woźniki jak malowane! I nawet nie farbą, a gliną paloną ozdobione! – zauważył paręset stóp dalej Andrzej Ligeza, kiedy wóz z trudem pokonał bystrą Dydniankę, a konie wzburyły kopytami deszcz srebrnych kropel. – Waszmościowie, nie od pary one – jeden dropiaty, a drugi wilczaty! Oj, pokpili panowie Dydyńscy powagę pogrzebu. Pomalowali konie, frantowie!

Szli przez dolinę w słonecznej spiekocie, prosto do kościoła. Poprzez Dydnię, obok chłopskich chałup i płotów oblepionych dzieciarnią. Weszli między zagony i pola, minęli poczerniały krzyż przy wyjeździe ze wsi, znaleźli się w samym środku spłachetków i poletek, gdzie na jednych żółciło się jeszcze niesprząnięte zboże, na innych zaś sterczały krótko ścięte rżyska przytykane plamami trawy i kamieniami. Z polskich pól nadciągał zapach dzikiego głogu i rozmarynu, woń leśnych kwiatów i przydrożnych ziół, które pracowitym i uczciwym kmieciom starczyć musiały za szlachecki szafran, pieprz, paprykę i goździki.

Chłopi, którzy trudzili się pod prażącym, Nielitościwym słońcem, rzucali sierpy i widły, ciągnęli do drogi, by choć z daleka

popatrzeć na niezwykle pochód. Próżno Smoliwąs strzelał korbaczem, chlasnął jakąś dziewczyninę po łydkach, popchnął staro dziada, który nie dość szybko usunął mu się z drogi.

– Pożynaj! Nie postawaj! – darł się, jakby go gotowali we wrzącym oleju. – Jeszcze nie południe!

Nie pomagały ani krzyki, ani razy korbacza. Żeńcy ciągnęli do traktu, żegnali się niespiesznie, spoglądali ciekawie na szlachtę postępującą pieszo za wozem. Umarł stary pan; jaki był, taki był, ale kto nastąpi po nim? Młodszy brat czy starszy? Który weźmie Dydnię? Czy ulży w robocie? Ujmie sprzężaju i pieszej pańszczyzny, zmniejszy daniny, stróżę i przewozy? A może przeciwnie – znajdą się nagle w księgach powinności, o których najstarsi ludzie nie pamiętali, i giąć będziemy grzbieity od ranka do wieczora, zdychać jako te woły czy konie? Jedno pewne – pan tu będzie dziedziczny, żaden arendarz ani starosta, nie każe siał na wszystkich niwach pszenicy przez trzy lata z rzędu... Jak będzie? Pan Bóg to jeno wie. Albo prędej sam diabeł.

Ciężko jest ścinać dorodne jak kiście kłosa pszenicy, pełne złotawych, mącznych ziaren, a jeszcze ciężiej zbierać z pola wysmukłe kłosa żyta. Za każdym razem schylaj się, tnij odporne łodygi zębatym sierpem przy samej ziemi. Wyciągaj pokos, zostawiaj na ściernisku, aż zbierze je niewiasta i zwiąże w snopek słomianym powrósem, a potem podźwignie i złoży w mendle po dwanaście sztuk każdy. Ściernisko kłuje w bosa stopy, pot spływa po grzbiecie. Słońce praży jak w czartowskim piecu, ale na szczęście ono wędruje po niebie swoim własnym trybem, nie jest obyczajów pana starosty, to jest włodarza. Wstaje, kiedy jego czas, a nie jak chciałby ekonom – o północy, aby można było poprowadzić gromadę do pracy, jeszcze zanim ptaki poderwą się z gniazd.

Miechowita pobłogosławił wieśniaków krzyżem; schylili przed nim głowy.

– Ruszać się! – ryczał Smoliwąs, waląc bez opamiętania korbaczem i nie dając najbliższym chłopom nawet się przeżegnać. – Zażyćnać śpieszno!

Kościół był blisko, dotarli już pod dzwonnice wznoszącą się ku szafirowym obłokom, zza których strzelały smugi słonecznego blasku. Od murów świątyni bił przyjemny chłód.

Ostrożnie wnieśli ciało i trumnę do wnętrza. Na progu dziady przekazały ją hajdukowi dworskim, którzy ponieśli pana stolnika w jego ostatnią drogę, przed ołtarz. Aleksander Dydyński zakazał, aby złożono go na ozdobnym podniesieniu, ale to nie znaczyło, że go nie zbudowano w świątyni. Bo cóż to byłby za pogrzeb polski bez *castrum doloris*, czyli ozdobnego podwyższenia? Dlatego przed ołtarzem stał czterostopniowy katafalk obity czerwonym aksamitem. Złożono na nim pustą trumnę, ciało zaś na mniejszym podniesieniu, by zmarły zgodnie ze swą ostatnią wolą nie leżał na katafalku.

A dokoła chwiało się łagodnymi płomykami tysiące lanych świec i lamp...

To było jak sen albo theatrum. Jacek i Przeclaw stanęli w pierwszych rzędach, obok starosty trembowelskiego, Piotra Bala i pana Wapowskiego z Radochoniec. A zaraz za nimi na ławy zwałił się tłum szlachty. Nie obyło się bez potrąceń, ktoś obalił świecę, ktoś się poparzył, łajał, krzyczał na czeladź. Dopiero cichy, stateczny głos księdza Fabrycego przywołał wszystkich do porządku. I wtedy padli panowie bracia na kolana, na ziemię, korząc się przed jedynym majestatem, przed którym zniżał głowę szlachcic polski. Jacek Dydyński uczynił to niechętnie i klęknął jako jeden z ostatnich.

Uczyniło się niezwykle cicho i odświętnie, gdy proboszcz Fabrycy, stanąwszy u ołtarza, wypowiedział swoje zwykłe *In nomine Patris* <25>... Przeżegnał się i ruszył z modlitwami jak husarz z kopyta na Szweda. Chór zacnych chłopiąt zaśpiewał antyfonę wejścia.

A potem wszystko poszło tak, jak chciał nieboszczyk ojciec. Prosto, skromnie przeszedł confiteor i kolekta, aby na koniec nadciągnęło credo i ofiarowanie. Kazania nie było. Lecz nie znaczyło to, że na pogrzebie zabraknie pożegnalnych mów.

Jako pierwszy wystąpił pan Wapowski, który w imieniu zmarłego pożegnał wylewnymi, aczkolwiek nieco przydługimi słowy najbliższą rodzinę i szlachtę. Po nim pan starosta halicki Dydyński perorował krótko, ale smaczno, rozwodząc się zwłaszcza nad biednymi osieroconymi dziećmi i zapominając, że nieszczęsne ubożuchne sierotki po pierwsze: mają po dwadzieścia tudzież więcej lat, a po drugie: najlepszym pocieszeniem będą dla nich majątności po zmarłym.

Na koniec zaś wystąpił pan Szczęsny Herburt, dziękując w imieniu rodziny za udział w pogrzebie. I trzeba przyznać, że mowę miał potoczystą i dźwięczną, jak stał szabli albo piorun bijący w szczyt góry, kiedy mówił:

– Wrzucimy cię zaraz, zacny towarzyszu nasz i kompanie, w dół ciemny, do ziemi marnej, gdzie czeka cię podróż ostatnia do twoich i naszych przodków. Jednak przyjaźni i dawnej uprzejmości w trumnę wrzucać nie chcemy, bowiem cnoty owe immortales²⁶ wiecznie będą. Żeście tedy waszmościowie tę ostatnią posługę i powinność chrześcijańską oświadczyć raczyli, pozostałe potomstwo jegomości przeze mnie mości panom dziękuje!

I to był koniec, prawie ostatni akt dramatu. Bo zaraz hajducy rzucali na trumnę szablę i pałasz, buławę i łuk ze strzałą.

Wówczas odezwał się łoskot kopyt. I do kościoła wjechało dwóch jeźdźców po husarsku – Świrski i Nieborski. Wśród krzyków i wiwatów ruszyli skokiem po posadzce, dopadli w jednej chwili castrum doloris, pochylając dobyte z toków kopie w pół końskiego ucha. Łomot podków rozbrzmiał grobowym echem pod wyniosłym sklepieniem kościoła, zabrzmiał jak bicie gromów, straszny, potężniejący, nieokiełznany.

Wpadli na katafalk i uderzyli kopiami. Wydrążone drzewca pękły z suchym trzaskiem na pół, a obaj husarze pochylili się wstecz, przerzucając nogi nad przednimi łękami kulbak, wylecieli z siodeł wedle starego polskiego obyczaju. Uczynili to ochoczo, bo byli dobrze pijani. Nieborski padł z brzękiem

26 łac. – nieśmiertelne

na bok, gubiąc kilka piór; gruba zbroja ochroniła go od skutków uderzenia o kamienne płyty. A Dydyński odetchnął z ulgą, bo jego pocztowy miał doprawdy zadziwiającą skłonność do popadania we wszelakie kłopoty, a przy ceremonii owej łatwo było o wypadek. Krusząc bowiem kopię nad grobem jednego nieboszczyka, można było łatwo zostać drugim, kończąc z potrzaskany czerepem albo przetrąconym karkiem.

Do diaska, tym razem szczęścia nie miał Świrski! Padając z siodła, nie wyrzucił lewej nogi ze strzemienna, a jego podjezdek spłoszył się, skoczył w bok, pociągnął pocztowego prosto w tłum!

Natychmiast podniosły się krzyki i wrzaski, nad którymi zdecydowanie górował ryk pana Herakliusza wleczonego na krótkim husarskim bucie po chropowatych płytach posadzki. Szalejący koń obalił kolumnę podtrzymującą rzeźbę archanioła Michała, potrafił jakiegoś szlachcica, roztrącił pacholków, którzy chcieli chwycić go za uzdę, a potem pomknął do bocznej nawy, zatrzymał się jak wryty, bijąc kopytami w ziemię, przed zbitym tłumem szlachty. Wreszcie zawrócił i pomknął do wyjścia.

– Łapać! Trzymać!

– Gwałtuuuu! Ratujcieeee! – darł się pan Świrski ciągnięty za lewą nogę, gdy raz czy dwa miał okazję zapoznać się z kopytami swojego podjezdka. A potem zahaczył łbem o kamienią kolumnę podtrzymującą strop, zwałił ramieniem ławkę...

Ktoś chwycił wierzchowca za uzdę, ale koń okręcił się w bok, wyszarpnął wodze z ręki. To wystarczyło, by but zsunął się z nogi szlachcica, który potoczył się z brzękiem aż pod główne wrota świątyni. Natychmiast wyciągnęło się po niego kilka pomocnych ramion.

– Jestem cały! – krzyknął, kuśtykając po posadzce, obmacując z niedowierzaniem osłonięty zbroją tors i nogi. – Żyję! Moje nogi także! Ale... Dajcie się napić, waszmościowie!

Rozhukanego konia schwymano na zewnątrz, osadzono, uspokoiono.

Ceremonia była skończona.

Przeclaw dał znak hajdukom, którzy podjęli z katafalku ciało zmarłego. Nie chowając do trumny, wynieśli go na zewnątrz na marach. Dzwon rozdzwonił się brzękliwie, aż zadygotał kościelny mur, a echa odezwały się spod samego szczytu świątyni.

Szli, raczej brnęli przez podwórze, dotarli na cmentarz, gdzie wąskie i małe bezimienne nagrobki chłopów kuliły się w cieniu wyniosłych mogił dworskich i folwarcznych sług. Na niebie pociemniało; przeleciał wiatr – gorący, nagły podmuch załopotał sztandarami i kościelnymi chorągwiami, przemknął nad morzem podgolonych łbów, które wylewało się z kościoła, pognął w pola, ku rysującym się czarnymi kresami ścianom lasów.

Dół był prawie gotów. Wiejski grabarz wyrzucił brązową ziemię, tworząc dwa stożki przetykane kawałkami skał i kamieniami. Z tyłu, za plecami obecnych, rosły chmury, wyciągały się jak rękaw. A nisko, poniżej wydętych bulwiasto obłoków, zamigotały pierwsze błyskawice.

Jacek poczuł, że wilgotnieją mu oczy. Kiedy ojciec leżał w domu we wspaniałych szatach, kiedy nieśli go do kościoła, ciągle czuł jego obecność, jak gdyby stolnik tylko zasnął albo niedomagał. Teraz to koniec – prawda brała go na rogi jak dorodny byk – musieli rozstać się na wieki, powierzyć wilgotnej ziemi, zmijom i robakom. Teraz naprawdę Jacek czuł, że oto został sam.

Spuścili ciało do grobu owinięte w biały zawój. Już po raz ostatni. Wrzucili po skibce ziemi.

A kiedy ksiądz odczytał ostatnie egzekwie, grabarz i jego pomocnicy wzięli się do rydli. Cicho i niemal bezgłośnie padała ziemia na martwe ciało pana stolnika sanockiego owinięte w całun. Nie było dudnienia jak o wieko trumny, które niczym bębny i tarabany odprowadzało polską i ruską szlachtę w tę ostatnią drogę.

Zamiast niego z tyłu huczały grzmoty, niebo było szare jak ołów i poblękitniałe. Ogromna chmura, wypiętrzona niby wy-

spa na morzu, sunęła wprost na Dydnię, jak diabelski wir porywający dusze grzeszników.

A kiedy Dydyński powiódł wzrokiem po tych wszystkich poszarzałych postaciach z pogrzebowego konduktu, dostrzegł nagle kogoś w czerni, kto stał z boku zadumany i smutny, z czapką w ręku. Szlachcice i czeladź odsuwali się od niego z respektem, niektórzy czołobitnie się kłaniali i pozdrawiali. Człowiek ten stał sam, a wiatr rozwiewał jego siwe włosy. To był Matiasz Jaksmanicki, ojciec Wojcieszka. Jego obecność uświadomiła Jackowi, że w Dydni i Jaksmanicach były w ostatnich dniach dwa pogrzeby. Ojca i Wojcieszka.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki